

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 20 maja 1916 roku.

№ 21.

ST. DZIKOWSKI.

Na froncie wołyńskim.

2

Ku pozycjom.

Drugiego listopada, w nocy, kiedyśmy opuścili miejsce pierwszego postoju na Wołyniu, pułk nasz zaopatrzony został w amunicję i wyruszył w stronę L., gdzie miał obsadzić wyznaczone mu pozycje. Przenocowawszy w M., udałem się następnego dnia śladem pułku wraz z pierwszym transportem codziennego „po-bioru“ dla żołnierzy. Każdego dnia, bez względu na sytuację i stan dróg, trzeba dostarczyć aż do stanowiska trenu bojowego przynajmniej: mięso, chleb, rum i papierosy.

W okolicy naszego frontu M. były długo największą stacją odbiorczą, jakkolwiek linia kolejowa dochodziła aż do L. Setki wozów obozują tam nieustannie przy stacji kolejowej. Stosy towarów, przywiezionych z daleka w beczkach i pakach olbrzymich, leżą w specjalnie wybudowanych halach drewnianych, barakach i magazynach. Na wszystkich drogach słychać nieustannie skrzypienie kół i różnojęzyczne wołania woźniców.

Dokoła wyrosło całe nowe miasto baraków, namiotów, ziemianek, bud, szalasów, nawet domów i willi. Wszystko w przeciągu — kilku tygodni zaledwie — jakby z pod ziemi. Urządzenia i instytucje sanitarne, gospodarcze i kancelaryjne pułków, brygad, dywizji i korpusów tworzą tu wielkie zbiorowisko, sięgające długimi ramionami linii etapowych aż do poszczególnych punktów frontu, a jednocześnie złączone bezpośrednio z najbliższymi, nawet centrami Austrii i Niemiec. Panuje tu wszędzie ruch nieustanny dniem i nocą — jak w mrówisku. Pociągł zajężdżają i odjeżdżają co chwila.

Mijają się wszędzie długie szeregi wozów naładowanych albo jeszcze próżnych. Do pociągów sanitarnych przynoszą i przyprowadzają rannych ze szpitali polowych. Tymczasem przybywają nowi wprost z placu boju na wielkich omnibusach Czerwonego Krzyża. Przechodzą od czasu do czasu oddziały kawalerii, piechoty i artylerii, wlokąc za sobą najrozmaitszego rodzaju treny, zaprzężone w wielkie, zimnokrwiste konie albo muły, niepozorne szkapę miejscowe. Niekiedy na szerokiej drodze widać najpierw gromady bydła i owiec, potem wozy nakryte szarą, płócienną budami i ludzi drepających niespokojnie pomiędzy tem wszystkim. Wszyscy w koczach i łapciach; kobiety odróżnić można tylko po chustkach czerwonych. To ludność z pobliskich powiatów Mińszczyzny uchodzący z palących się domostw przed grozą wojny. Będzie osiedlona na czas pewien w innych miejscowościach, dalej od terenu wojennego położonych a zdawna już opustoszałych.

Wszędzie uwijają się jeńcy rosyjscy, używani tu powszechnie do grubszych, ordynarniejszych robót. Noszą belki na plecach i ziemię na noszach, potrzebna do budowy — zajmują się konserwacją i układaniem niezliczonej ilości skór ze świeżo ubitego bydła — kopią doły na nieczystości i śmiecie, pomagają przy wszelkim noszeniu ciężarów, skrobą kartofle, czyszczą i poją konie, przenoszą rannych, grzebią umarłych. Czasami, kiedy przesuwa się koło nas jakieś wozy, widać ich siwe czapki i żółte basztyki, pochylone ponad grzbietami końskimi. Woźnica, to już najwyższa ranga dla jeńca rosyjskiego — na nic lepszego nie są przydatni. Pewna ich ilość jest jed-

nak zawsze potrzebna. Dopiero wtedy, kiedy napływają nowe ich fale, nadmiar jeńców wysyła się w głąb kraju.

Dalej pod lasem, gdzie już tylko dochodzi zgiełk przytłumiony, urządzono cmentarz — cały brzoźowy. Wszystkie krzyże na mogiłach, ogrodzenie, bramę wysoką i małe rusztowanie przeznaczone na nabożeństwo — zrobiono z białych gałęzi i pni brzoźowych. Na tle ciemnej zieleni sosen z daleka są widoczne. Jest tu już wiele grobów, gdzie leżą pochowani obok siebie żołnierze austriaccy, rosyjscy i kilku legionistów. Niemcy mają osobny cmentarz po drugiej stronie toru kolejowego. Równie rzędy grobów pięknie obłożono zieloną darnią, a obok nich świeżo wykopane otwierają czarne, jeszcze mienasyczone paszcze. Na grobach krzyże i napisy czytelne, wyraźne i dokładne. Czasami tylko widzi się te trzy słowa: ein unbekannter Russe. Tu leży pomiędzy innymi żołnierz I-ej brygady, dr. Sternschuss, który, jak głoszą jego epitafium, będąc oficerem w wojsku austriackim, wstąpił do Legionów i zginął jako prosty szeregowiec.

Pod tym cmentarzem prowadzi nasza droga, skręca na prawo w las, który otacza nas aż do samego Lisowa. Czasami trudno się tu oryentować — na wszystkie strony rozchodzą się drogi, dróżki i drożynki, na żadnej nie uwidoczniłoby mapie. Trzeba jechać na chybił-trafił wedle ogólnego kierunku. Zresztą, radzimy się żołnierzom, których spotykamy od czasu do czasu.

Jedzie się jako-tako; w miejscach uciążliwych zbudowano mocną drogę polową, która tu towarzyszy nieodmiennie wszystkim bagnom i moczarom. Pnie drzew, ułożone równo obok siebie, umocowane po bokach, przykryte ziemią i sośniną, pozwalają nam przejechać spokojnie tam, gdzie nasze konie zapadałyby się po brzuchy. Drogę tę budowali przeważnie jeńcy rosyjscy pod kierunkiem saperów austriackich. Aż do

samego L. znać świeży ślad rąk ludzkiej! Wszystkie mosty i mostki sa ponaprawiane. Gdzieniegdzie spotykamy już i wyraźne napisy wskaźujące drogę. Ścięte drzewa, stopy gałęzi, a nieraz opuszczone, nawpół zrujnowane szalasy wskazują, że tu jeszcze niedawno ktoś obozował i wypoczywał.

Niekiedy w głębinach lasu lub na polanach, rozwierających się szeroko, wykwitają wysmukłe bukiety dymów. Słychać rżenie koni i gwar głosów ludzkich. Widzimy żołnierzy niemieckich, gospodarujących z zadziwiającą systematycznością i spokojem. Niedaleko L. koło przejazdu kolejowego wjeżdżamy pomiędzy olbrzymie obozowisko wszelakich rodzajów broni. Wszędzie szalasy, ziemianki i baraki. Przed nami słychać coraz potężniej armat, rosnący, jak łoskot lawiny. Wreszcie rozlega się suchy, złowrogi trzask, zadziwiająco podobny do uderzenia pioruna. W szarym mroku wjeżdżamy zapadającego wieczoru migocą jakieś dalekie, niepewne światła. To już L.

Zsiadam z konia, żeby choć trochę wyprostować zmęczone kości. Tuż koło mnie stąpa ciężko wielkimi krokami olbrzymi żołnierz niemiecki. Wiatr rozwiewa mu płaszcz, luźno na ramionach opuszczony — za każdym poruszeniem się jego stóp rozlatują się kawałki błota, albo pryska woda z przydrożnych kałuży.

Zaczynamy rozmawiać ze sobą. Wymieniamy nasze pułki, miejsca bitew i dłuższych postoiów. On jest gwardzistą, walczył tylko na wschodnim froncie. Ale wojna nad Styrem jest najśliszszym wrażliwym ze wszystkich jego dotychczasowych przeżyć. Opowiadał beznadziejnie, gorączkowo, tak jak człowiek, w którego mózgu jest więcej, niż wypowiedzieć można. Mieszał ze sobą fakty, anegdoty i własne refleksje. W sytuacji ogólnej orientował się doskonale — po prostu i bez złudzeń. Czasami wydawało się, że ma przed sobą mapę, z której odczytuje nazwy miejscowości i rzek. Wyjaśniał ich znaczenie strategiczne, pokazywał ruchem ręki kierunek linii kolejowych, którym musimy za wszelką cenę zawładnąć. Potem powracał znowu do niedawnych wspomnień. Wskazując przed siebie w niewyraźną, mroczną przestrzeń, gdzie rozlegał się co chwila grom armatni, powiedział spokojnie:

— Tak, jeszcze wczoraj byłem tam, w tem piekle.

Dostał urlop na osiem dni razem z wieloma towarzyszami. Wolno im było robić wszystko, aby mogli zebrać znowu rozprężone zmysły i zdobyć utraconą równowagę ducha. Z tego gorączkowego, niespokojnego opowiadania żołnierskiego wycierała potężna wizja walk bezlitosnych i upartych, walk, które pożerają nieraz całe pułki i zamieniają ludzi pę-

nych siły i zdrowia w zimne trupy lub niedołążne kaleki.

Niespodziewanie przesunęły się koło nas gromady jeńców rosyjskich, wlokących się ociężale po błotnistej drodze.

Gwardzista niemiecki przyjrzał się im i zawołał z radością:

— Ach tak, słyszałem już o tem. Właśnie dziś popołudniu dzielnicy austriacy przełamali front rosyjski!

Zauważyłem, że na jeńców rosyjskich patrzy z nietajoną nienawiścią. Od czasu do czasu rzucał w ich stronę mocne przekleństwo.

Kiedy już minęło nas kilka takich partyi, zwrócił w moją stronę błyszczące żrenice i zaczął tłómaczyć się szybko:

— Rozumiem wszystko. Walczymy ze sobą — nie może być przecież inaczej. Oni strzelają do nas, my strzelamy do nich. Atakujemy ich, oni idą na nas z bagnietem. Na wojnie, jak na wojnie. Szczęście raz

jednym sprzyja, raz drugim. Myśmy tu przyszli do ich kraju i da Bóg pójdziemy dalej. Rozumiem, że muszą się bronić. Rozumiem to nawet, że zostawiają nam pustynię za sobą. Ale dlaczego te psy przekłete strzelają do nas kulami i wybuchowemł. Kiedy pomyślę, ilu dobrych towarzyszy odeszło stąd z pogruchotanymi kośćmi, ilu takich zginęło, którzy mogliby jeszcze żyć, ogarnia mnie wściekłość. Nasze kule przechodzą przez ciało i biegną dalej. Rana w tem miejscu, gdzie wyszły, nie jest większą, niż tam, gdzie weszły. Ale te wstrętne rosyjskie „ekrazytówki“ pękają za lada dotknięciem, jak małe granaty, rwą ciało, rozbijają kości, rozłupują czaszkę, jak garnek gliniany. Ach barbarzyńcy, nędznicy. Przyśiągłem sobie już, że będę bez litości.

Wzniósł pięści do góry i przystanął, podobny do widma zemsty.

Doszlismy wreszcie do wsi.

Dalszy ciąg nastąpi.

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

LILI.

5

Patrzył na nią rozmiłowanemi oczyma. Lili odpowiedziała mu czulem spojrzeniem i uściśnęła rękę, a w tym uścisku i w tem spojrzeniu była krótka zapowiedź szczęścia, od którego mgła mu zasłżyła oczy. Gdy stanęła w mieszkaniu, Stef z pewną dumą rozejrzał się po czysto zamiecionych pokojach i był szczerze zmartwiony, gdy Lili, spojrzawszy po meblach, zawołała:

— Co tu kurzu, co tu kurzu! Ależ tu oddychać niepodobna i otwarta na oścież okna.

— Poczekaj — mówiła — ja tu zaraz wszystko doprowadzę do porządku, a mój pan — potargała go lekko za wichry — pójdzie tymczasem i przystrzyże swą bujną, ale nieco za długą czuprynę.

— Lili!..

— Wszystko, co powiedziałam, spełnione być musi — odparła z udaną powagą. — Ja tu jestem królową, a to moje berło — uniosła do góry miotelkę.

Świda uściśkał ją wesoło i wyszedł.

Gdy wrócił, zastał Lili w szlafrocuku i muślinowym zawoju na głowie.

Kurz został zwalczony, a meble w jego pokoju poprzestawiane w sposób umiemyjny.

— Patrz, czy tak nie lepiej? — chwaliła się Lili — w swoim poprzestawiam jutro, zobaczysz, jak wszystko będzie inaczej wyglądało. Mój Stef ślicznie pisze, ale nie ma pojęcia o estetyce mieszkania, w

którem się przecież spędza większą część życia.

Wyszła do siebie, przebrała się i poprosiła, by jej zapalił z tyłu suknię.

— Nie — broniła się, tuląc całowane ramiona. — ależ w ten sposób nie ubiorę się nigdy, a jeść mi się chce. Tyś pewno tylko po szklance herbaty i wielu papierosach, przystaj się... Gdzie się stołujesz?

— Gdzie się zdarzy.

— Czyli najniehigieniczniejszy tryb życia, jak zwykle. Oj, Stef — pogroziła mu różowym paluszkiem — zawsze się stajesz przedmiotem mojego niepokoju. Takie to zdolne pod wszystkimi względami, kochane, a pod tym, życiowym, co wbił, to wjechał..

Podala mu rękę i zaprowadziła do pierwszorzędnej restauracji, przyciem Stef zauważył w wyborze potraw i w całym jej zachowaniu pewien rys swobody, cechujący ludzi obracających się w zamożnych środowiskach.

Po obiedzie zaproponowała przejażdżkę za miasto i tak zmanewrowała czasem, że wrócili do domu dopiero wieczorem.

— Strasznie zmęczona — mówiła, zdejmując kapelusze — nie spałam parę nocy, miałam trochę przykrych przeżyć, w wagonie też nie zmrzyłam oka, czuję, że odeśpię dopiero na swoim sześlądźku, dobranoc! — i wyszła do swego pokoju.

— Dobranoc! — wymówił głucho Świda. — Cofnął się od progu z

westchnieniem do siebie, rozebrał się, zapalił świecę i leżał nieruchomo z zaciśniętymi oczyma i jakby w zesztywnieniu całego ciała.

Nagle, jakby wichur wionął w pokój, zdmuchnięta świeca zgasła i owinęły go ciepłe, pełne ramiona.

— Lili! — krzyknął.

— Och, ty niedobry — szeptała — jeszcze przed chwilą byłeś gniewny, prawda?

— Tak!

— To może pójść sobie? — mówiła, tuląc się.

Ale Świda nie był w stanie nic mówić, usta zalewała słodycz jej pocałunków i dopiero, gdy minął zenit rozkoszny, po momentach odurzenia, zapalił świecę i patrzył z tklivością na jej przytuloną do ramienia różową, w złotych poplątanych lokach twarz i wpółotwarte jeszcze, pełne krwią usta, na jej przymknięte, jak muszla perłowa, o długich rzęsach oczy.

— Mów mi, Stef, jak dawniej — westchnęła.

— Z myślą o tobie układałem dużo płomiennych wierszy, ale zapomniałem.

— Mów, co pamiętasz!

— A można wszystko?

— Jak chcesz.

— Lubie — zaczął rwącym się głosem szeptać jej w uszko poeta — gdy pewna swych wdzięków, wspinała, składasz w ramiona przepych swego ciała i pełna dumy i królewskiej pychy pozwalasz pieścić swej kraszy kielichy...

— Spisz — przerwał.

— Śpię — uśmiechnęła się błędnie.

— To powiem dalej: — O miła moja, o złota dziewczyno, nauczycielko i mistrzyni miłości, raju mojego szczęścia i radości, upajająca, jak pienne wino, więc jako jesteś różaną i białą, odrzuć to giezło, bym cię ujrzał całą!...

— I powiem jeszcze śmiały — głos mu nabrzmiął namiętnością.

— Nie trzeba dzisiaj — szepnęła Lili — potem... jutro, kiedyś, trochę odwykłam od twych miłych szaleństw — odsłoniła omglone źrenice, przetarła błękit oczu i ciągnęła, patrząc już jasno:

— Wiesz, że masz jakiś dziwny dar przyprawiania o zawrót głowy słowami, w ustach twych wyrazy przyjmują postać realnych istnień, jakby nowych ucieleśnionych wdzięków, które muskają jakby delikatne, wilgotne, pachnące kwiaty... o znasz ty — pocałowała go gorąco — tę swojej wymowy moc i urok i powiem ci — dodała — cichutko, pod wielkim sekretem, że nawet lubię te twoje śmiałe, nieco drastyczne, rozdmuchujące ogień we krwi, powiedzenia...

Umilkła i dodała po pauzie:

— Wyznaj, czy czynisz to świadomie?

— Czy świadomie? — poeta się zamyślił — chyba nie. Fale wzruszenia wynoszą to ze mnie, z najgłębszych pokładów instynktów to samo się ze mnie dobywa, tobą się zdobij ten mój głos, a że wszystko w tobie jest tak śliczne, że wszystkie mu umiesz nadać pełną wdzięku postać, to sprawia, że w wianki, które tobie składam mogę wplatać czarodziejskie ziele, nie kalając mego cudnego ołtarza...

— Pleciesz, Stef! Nie, doprawdy, — przybrała Lili uroczystą minę. — Psujesz mnie swemi chwalebami, odziewasz mnie tęczami swojej wyobraźni, nie o mnie, lecz o wyobrażeniu swem mówisz...

— Gdyby nawet tak było, to nie zmienię nic a nic: nie poznamyśmy rzeczy samej w sobie, ale swe wyobrażenie o niej, i niech mi wolno będzie śliczne wyobrażenie popieścić samo w sobie, a że Lili moździerki rozdyma i patrzy na mnie z taką wspaniałą pewnością swych nieodpartych pojęć, to mnie utwierdza w mniemaniu, że tulę nią złudę, ale kochana kobiecie, odzianą w grona upajających wdzięków, rosnącą z każdym dniem w krasę — głos mu się zachłusnął i zamarł w pocałunku.

— Ty mój, — powtórzyła Lili sennie — ale czas spać, bo Lili doprawdy zmęczona...

Oczy jej się skleily i po chwili poczęła oddychać równo i swobodnie.

Świda patrzył na jej uśpioną, pogodną twarz i jak zjadliwa jaszczurka, przeczłogała mu się po mózgu myśl: czy tak samo usypia przy tamtym?

Zajrzał badawczo w twarz Lili, ale z zaróżowionych jej policzków i białego czoła płynęła taka szczerą jasność, że cała jego zgrzyzota roztopiła się w serdecznym wzruszeniu.

Nazajutrz zbudziła go sakramentalną szklanką mleka, którą wypił prawie drzemiąc.

Gdy się obudził ponownie, Lili była zupełnie ubrana, w pokoju wisiały porozwieszane obrazki, a meble poustawiane tak umiejętnie, że w mieszkaniu stało się znacznie przestronniej.

Z jego pomocą urządziła i gabinet, wytarła biurko, a porządkując szuflady, ucieszyła się, znalazłszy spory rękopis.

— Trzeba to będzie przepisać — rzekła, przeglądając luźne kartki.

— Po co, Lili, zecer sobie z tem poradzi!

— W każdym razie ja wolę — odparła, miała bowiem jakgdyby wątpliwości, że tak nabazgrane może wypaść dobrze w druku.

No, jeżeli chcesz czas darmo tracić — zgadzał się niechętnie poeta, gdyż obawiał się jej, bardzo zresztą delikatnej krytyki niedbalej napisanych ustępów, które Lili chwyciła w lot i w formie zapytania: — Słuchaj, Stef, czy to brzmi dobrze?... osiągała zwykle ten skutek, że poeta odpowiedni okres przerabiał stylowo. W ten sposób Lili zabrała się do zwykłej swej pracy i rozwinęła całą swą pieczołowitość, która powoli, jak dawniej, zaczęła irytować Stefana.

Hamował się jednak, jak mógł, i tylko nieco skwaszona jego mina mąciła harmonię, nie na długo jednak, gdyż Lili stała się niezwykle łagodną, wyrozumiałą i tak pieściotliwą, jakby chciała mu wynagrodzić pauzę rozstania i tę, która minęła, i tę, która miała nastąpić, czego jednak Świda nie uświadamiał sobie jasno, pomimo jej ogólnikowych napomknięć.

Miłość jej do Brunona jeła mu się wydawać chwilowym porywem i raną z tego powodu, opatrywana czułą dłonią Lili, zasklepiła się i odzywało się już tylko lekkie podrażnienie, ilekroć o tem myślał, lub wspominał.

Dalszy ciąg nastąpi.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

*Polsko, ojczyzno moja, męczennico święta,
Za swe grzechy, czy cudze, na krzyżu rozpleta —
Tyś jest, jak posąg, dłonią wyciosany Bożą,
Który po wiekach z ziemi kopacze wyorzą!
Rozbił go barbarzyńiec, a pleśnią okryta
Jeszcze postać ta nosi wielkie mistrza znamię...
I jeszcze nad jej czołem aureola świta...
I bez miecza orężne jeszcze drży jej ramie.
Imię Twe — dziś występkiem w ustach własnych dzieci,
Miłość Twoja jest zbrodnią, pamięć Twojej doł!
W katakumbach tajemnie nad grobaną świecił,
Bo i na nich są skute kajdany niewoli.
Witaj mi, męczennico! przez wroga i syna
Skrepowana, żelźona, szarpana, wykleta!
Tysiącem bólów Twoja okupiona wino —
Ty dzisiaj krzyżowana — Ty dziś jesteś święta!*

Katarzyna Sforza-Riario.

Kobieta-władca.

1

W maju 1478 r. sypało słońce na Rzym tak obfite fale żarów, przepojonych malarycznymi wyziewami błot pontyńskich, iż ubogiej ludności, zamkniętej w ciasnych, brudnych uliczkach „św. miasta“, zabrakło świeżego powietrza do oddychania. Malaryja dopomógł głód, spowodowany nieurodzajem tego roku.

Zatrute miazmatami moczar technię wiosny i mędra, podawszy sobie ręce, gospodarowały bez litości w domkach pauprów. Marły dzieci stosami, szły za niemi matki, szli ojcowie — cmentarze nie zamykały bram od rana do nocy.

Zdawałoby się, że w takiej czarnej chwili straci wesoły zwykle proletaryat rzymski, łaknący wrażeń, ochotę do gapienia się na barwne, jaskrawe widowiska, których mu Watykan, pałace kardynałów i zamki baronów nie skąpiły.

Dziecinna ciekawość motłochu przemogła strach przed głodem i śmiercią... Jeszcze nie wyplłynęło słońce na niebo, a już toczył się wrzaskliwy tłum ku *Monte Mario*, gdzie świecił białemi ścianami pałac kardynała urbińskiego. Kogo malaryja albo głód nie cisnęły na łożo boleści, ten spieszył na widowisko. A miał je już po drodze.

Sześć tysięcy jeźdźców, dworzan watykańskich, szlachty rzymskiej i żołnierzy, rozstawionych szpalerem z obu stron ulicy, wiodącej do bazyliki św. Piotra, szeleściło jedwabiem, sukniami wszystkich barw tęczy, i błyszczało złotemi łańcuchami. Tłum wspinał się na palcach nóg, wyciągał szyję, miby żuraw, wyteżał wzrok w stronę wzgórze. Bo z tego wzgórze, z bram pałacu kardynała urbińskiego, wysunie się niebawem wspaniały orszak.

Katarzyna Sforza, nieprawa córka Galeazza Maryi Sforzy i jego kochanki, Lukrecyi Landriani, połączy się dziś węzłem dozgonnym z Hieronimem Riario, siostrzeńcem papieża Sykstusa IV.

Jak ta oblubienica wygląda? Czy młoda, ładna, miła? pytały ciekawe oczy rzymianek. Jak będzie ubrana, bogato albo skromnie?..

Już się zbliżała. Oznajmiały ją z daleka okrzyki: *evviva, evviva!*

Na białym koniu siedziała młodziuchna, czternastoletnia *domna*, o toczoną rojem służby, męskiej i żeńskiej. Czerwoną, atlasową suknię miała na sobie, a na tej sukni złotolity płaszcz adamaszkowy, obsypany drogiemi kamieniami. Duża jej głowa, osadzona na długiej szyi, obracała się to w prawo, to w lewo. Bystre, badawcze oczy chodziły po żywym

szpalerze honorowej straży z uwagą wedza, lustrującego swoje wojsko. Rysunek jej świeżej, różowobiałej twarzy blondynki psuł duży nos Sforzów. Grube wargi i silnie zarysowana broda zapowiadały zmysłowość i bezwzględna moc energii.

Sforzowie nie mogliby się wyprzeć tej swojej nielegalnej latorośli. Była ona zbyt wyraźnym portretem ich typu rodowego.

Twarde rysy oblicza Sforzów łądził uprzejmy uśmiech młodej *domny*, wychowanej na dworze Bony Sabaudskiej. „Kortezya“ dworska nauczyła ją składać usta wedle potrzeby, a nawet uśmiechać się słodko w chwili dokonywania jakiejś zbrodni. O tej sztuce nie wiedział tłum pauprów. Wystarczał mu uprzejmy uśmiech córki księcia medyolańskiego, aby się zachwycić jej „szlachetną dobrocią“.

— *Evviva, evviva!* — ryczał motłoch — *Evviva!* — wtórowała mu straż honorowa.

Jak tryumfatorka, wjeżdżała młodziuchna, nieznaną jeszcze w Italii dziewczyna, do Rzymu. Sława kondotyerską dziada i pradziada usłala jej drogę kwiatami.

Rozkołysały się dzwony na wieży bazyliki św. Piotra, zawarczały bębny doboszów papieskich... Oblubienica przestąpiła próg świątyni... Tu czekał na nią na tronie papież, o toczony purpurowemi sukniemi kardynałów.

Rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo. Trwało długo, całe trzy godziny. Katarzyna miała czas przypatrzeć się dygnitarzom Kościoła. Ale nie purpura kardynałów podniecała jej ciekawość. Zajmował ją głównie jej oblubieniec. Poznała go dopiero wczoraj. Obcym jej był ten człowiek, do którego za kilka godzin miała należeć aż do zgonu, któremu miała przysiąc miłość, wierność i posłuszeństwo. Dziwnym wydawał się jej Hieronim Riario, hrabia rzymski, wikaryusz Imolj i Forli, ukochany siostrzeniec papieża. Robił on na niej wrażenie parobka, przebranego w aksamity i brokaty. Ruszał się niezgrabnie, ociężałe, jak chłop, nie umiał się uklonić z wdziękiem wytreśowanego dworaka, ani powiedzieć jakiegoś komplimentu. Głos jego był surowy, twardy, mowa pospolita, zakres jego wiedzy obracał się tylko dokoła koni, stajni, kości, wina i grubych, gminnych dowcipów.

A ona, wychowana na dworze Bony Sabaudskiej w otoczeniu wirtuozów „cavalierów“, przywykła do gładkich form towarzyskich, do „kortezyi“, do wykwiśniętego słowa

uczonych i poetów, do literatury i sztuki.

Przypatrując się z boku swojemu narzeczonemu, który stał za nią, niby nieociosany kłoc, rozmyślała Katarzyna, jak ten kłoc wygładzić, wypolerować, aby się nie potrzebowała za niego wstydzić. I dziwiła się, że takiemu parobkowi powierzyła Kurya rządu nad Imolą i Forli.

Nie wiedziała, że Riariowie ubierali się w aksamity i brokaty dopiero od wczoraj, że temu kilka lat byli chłopami; czy rybakami w wiosce Albizzola nad morzem liguryjskiem, w pobliżu miasteczka Savona. Z tych nizin wydobyla ich szczęście głowy ich rodziny, Franciszka della Rovere (ur. 1414 r.), przez dłuższy czas mnichą w Kongregacyi Minorytów, potem profesora w Padwie, dalej kardynała, wkońcu papieża (w r. 1471). Mnich-papież, zwany Sykstusem IV, kochał swoją rodzinę, bliższą i dalszą. Dbał więcej o nią, aniżeli o sprawy Kościoła. A było tych krewniaków, stukających do jego skarbca i protekcyi, dużo. Piętnastu „nepotów“ przybiegło galopem do Rzymu, aby korzystać z wyniesienia brata, stryja i wujka. I oblowili się suto, papież bowiem przygarnął całą tę głodną czeredę życzliwą i hojną ręką, nie zwracając uwagi na niezadowolony pomruk św. Kollegium. Trzech swoich krewniaków mianował kardynałami, kilku innych obdarzył wysokiem; urzędami w Watykanie i w mieście, Hieronima Riario, syna swej siostry, Bianki, wyniósł do godności hrabiego i osadził na troniku dwóch miast, Imolj i Forli.

W przeciagu kilku lat przedzierzgnęli się Roverowie i Riariowie, chłop; i rybacy, bez żadnych zasług, w dostojników i magnatów. Nowa arystokracja przybyła Italii...

Śmieszna to była arystokracja, papież bowiem posiadał władzę zmieniania młodych mniszków w kardynałów a parobków w hrabiów i książąt, ale nie władał nad czasem. Nie rozważał, że potrzeba dwóch, trzech pokoleń, aby z prostaką wykrzesać „cavaliera“.

Gorszyła się rubasznością Riaria Katarzyna, gorszyli się także kardynałowie, pochodzący z lepszych domów, i baronowie rzymscy. Z pogardliwym uśmiechem na ustach spoglądali na niedźwiedzie ruchy nowego hrabiego.

Nabożeństwo skończyło się.

Teraz stanął przed ołtarzem ochmistrz dworu medyolańskiego, Bossi, i zasypał oblubienicę kwiatami długiej mowy, wygłoszonej w języku łacińskim. Zwyczajem retorów i humanistów XV-go stulecia nie szczędził barwnych słów i wyszukanych frazesów. Nie o treść tym mistrzom chodziło, lecz tylko o formę.

Przełknawszy nudną, bombastyczną gadaninę, przystąpiła Katarzyna do ceremonii ślubu. Złączona dozgonną przysięgą z obcym jej człowiekiem, uklękła przed papie-

żem i ucałowała jego stopę. A Sykstus IV ozdobił ją naszyjnikiem wartości 4,000 dukatów.

Obfita biesiada w pałacu kardynała Orsinięgo, składająca się z dwudziestu dań, przepiękną deklamacją sonetów na cześć świeżo upeczęzonej mężatki i tańcami, zamknęła uroczystość ślubną.

II.

Hieronim Riario stał na balkonie zamku inońskiego, rozglądając się dokoła. U jego stóp rozłożyła się mała, brudna, uboga mieścina. — Za mała, za brudna na rezydencję dla „nepota“ papieskiego. Gdyby nie ponura warownia, zbudowana tu przez Sforzów, nie różniłaby się niczem od osad chłopskich.

Nie podobał się widocznie hrabiemu dar papieża, bo marszczył brwi i przygryzał wargi. W przeciągu kilku lat zapomniał, że urodził się, wychował w takiej samej osadzie i żył w takich samych brudnych chatkach. Nagle, niespodziewane powołanie przewróciło mu klepkę w głowie i pomnożyło jego apetyty.

— Szczególny pomysł miał Ojciec Święty, zamykając nas w takiej dziurze — mruzczał pod wąsem. — Za kogo on nas ma? Riariowi należy się conajmniej księstwo.

— Zależy od ciebie powiększyć nasze państwo — odezwała się Katarzyna, siedząca na ławie ze swoją dwuletnią córeczką, Bianką.

— Powiększyć, ale w jaki sposób? — zapytał mąż.

— Zaden z książąt włoskich nie posiada tyle środków i sposobów do zdobycia wielkiego księstwa, a nawet królestwa, jak siostrzeniec papieża. Skarb watykański otworzy się dla twoich zamiarów, a za dukaty można kupić miecze i halabardy najlepszych kondotyerów i pomoc sprzymierzeńców. Gdybym była na twoim miejscu, zebrałabym liczne wojsko i uderzyła bez namysłu na Neapol. Bardzo łatwo wypędzić króla Ferrante z jego uroczej stolicy i zasiąść na jego tronie.

Riario spojrzał zdumiony na żonę.

— Skąd u ciebie takie śmiałe pomysły? — rzekł.

— Skąd? Z mojej krwi. Prawnuczka i wnuczka najznakomitszych kondotyerów Italii; odziedziczyła po nich odwagę i pomysłowość — odpowiedziała hrabina.

Odziedziczyła w istocie po swoich przodkach odwagę i pomysłowość. Krew urodzonych wojowników kipiła w jej żyłach.

Nawet takiego brutala, jakim był jej mąż, okiełznała powoli. W pierwszych latach pożycia małżeńskiego poniewierana, bita niejednokrotnie harapem przez chama, odzianego w suknie złotolite, umiała z czasem „dziką bestię“, jak sam papież swojego siostrzeńca nazywał, nagiąć do form łagodniejszych. Cha-

ma nie przerobiła na „cavaliera“, ale nauczyła go przynajmniej konnej jazdy, zewnętrznej estetyki „kor-tezy“ i frazesów renesansowej u-przejmości. Przewyższając go wychowaniem i oświatą, zapanowała nad jego barbarzyńską bezwzględnością. Pychą odurzonego niezwykle powołaniem parweniusza ukorzyła się przed jej inteligencją. Riario, zrazu tyran domowy, zaczął się liczyć z wskazówkami i radami żony.

— Myślisz, że można zdobyć tron neapolitański? — mówił. — Król Ferrante ma w swojej służbie znakomitych kondotyerów. Orsiniowie, Colonna i Savelliowie prowadzą jego wojska.

— Wystarczy zagrozić tym dumnym baronom romańskim konfiskatą ich zamków, rozrzuconych na górach albańskich, aby ich odciągnąć od Neapolu. Papież jest mocniejszym od nich. Jedź natychmiast do Rzymu i nakłoń Ojca Świętego do twoich zamiarów.

Dalszy ciąg nastąpi.



Migawki wojenne.

W kawiarni.

— Jakże tam, panie poruczniku, w okopach?

— Świetnie, panie! Nadspodziewanie świetnie!

— No?

— Dwa tysiące już wybiliśmy, teraz trzeci tysiąc idzie na maszynę!

— Trzeci tysiąc??...

— Jak dobrze pójdzie, rzucimy jeszcze czwarty i piąty!...

— Czwarty i piąty?!...

— Ogromny sukces!...

— ?!...

— Moich szkiców: „W okopach“.

Na ławeczce.

— Piękna wiosna tego roku, panie Antoni!

— Piękna, panno Anno!...

— I dziękować Bogu za to!...

— O, tak. To jedno choć, co mamy!... Że może sobie człek posiadzieć chwilę na ławeczce i wyczunąć zdala od gwaru miejskiego, ogonków, komitetów, braku chleba, i całej tej nędzy...

— Oj nędzy!...

— Okropnej nędzy, panno Anno!...

— Coraz wzrastającej, niech pan powie, panie Antoni!...

— O, tak! I przy tej drożyznie...

— Okropnej drożyznie!...

— Coraz wzrastającej, niech pan powie, panno Anno!...

— Ba! Ma pan pojęcie, ile dałam za te bućki? Czterdzieści pięć rubli!...

— Straszna nędza tego roku, panno Anno!...

— Straszna, panie Antoni!...

W sklepie.

— Proszę o śledzia.

— Śledzi niema.

— Kiedy będą?

— Wcale nie będą.

— A masło?

— I masła nie będzie.

— To może masz pan co z wędlin, lub z mięsa?

— Nie, nie mam.

— U licha! Żadnych artykułów żywnościowych?!

— Owszem: cukierki, wódka...

— Co jeszcze?

— Losy.

— Jakże losy?

— Różne: niemiecki, austriacki, saski, bawarski, turecki, węgierski...

— A polski?

— Polskiego losu jeszcze niema. Ale niedługo ma być...

Kumoszki warszawskie.

— Kochana pani, możebyśmy poszły na co do jakiego teatru?

— Kiedy, droga pani, niema na co. Niech mi pani wierzy! Grają tam podobno w którymś teatrze coś Szekspira, ale to ma być bardzo wesołe. No, przyznam się pani, iść do poważnego teatru i śmiać się na Szekspirze, to nie ma sensu! Zwłaszcza, w tych czasach...

— Ale ja słyszałam, że w tym samym teatrze dają także coś poważnego...

— No, tak: wiem o tem. I coś bardzo ładnego nawet. Ale przyzna pani chyba sama, że siedzieć w tych czasach trzy godziny w teatrze i smuć się...

— To wie pani? Opowiadał mi ktoś, że grają w innym teatrze taką sztukę, co to ani wesoła, ani smutna, a bardzo ciekawa...

— Tak, tak, słyszałam i o tem. No, ale daruje pani, jeżeli mam iść do teatru, rozebrać się, i ani się śmiać, ani płakać, to już wolę poczekać, aż otworzą jakiś ogródek — przynajmniej nie będę potrzebowała zdejmować kapelusza...

— Ach, bardzo ładny, ile pani dała za niego?

W kancelaryi teatralnej.

(Autentyczne).

— Przyniosłem panu dyrektorowi dwie nowe sztuki do nabycia. Obie zakazane: jedna o Murawiewie, druga o Paskiewiczzu...

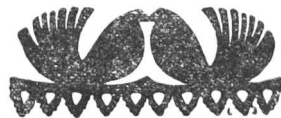
— Ależ, szanowny panie, ja tu mam już dwie pańskie sztuki anti-rosyjskie o Katarzynie i o ks. Konstantym, dotąd nie przeczytane...

— Pan dyrektor będzie łaskaw się pospieszyć, bo za tydzień będę miał zaszczyt przynieść panu dyrektorowi jeszcze jedną, którą właśnie wykonczam: o Skalonie, jutro zaś zaczynam zupełnie nową rzecz o „prystawie“ pierwszego uczątku...

— Na miłość Boską, pan szanowny po całych dniach nic nie robi, tylko piśsze sztuki?

— Cóż robić, panie dyrektorze! Bieda... nie mam posady... trzeba się ratować... To z nędzy, tylko z nędzy, panie dyrektorze!...

B. Gorceżyński.



B A K.

20

Całą jej młodość zatrąła myśl o tem, co uczyniła. Dzień po dniu, rok za rokiem walczyła przeciw widmu wyrzutów. Powtarzała sobie ciągle, że musi pracować dla przyszłości; zamykała uszy i oczy na rzeszłość. I nigdy, ani na jedną chwilę nie opuszczał jej obraz topielca, którego fale uniosły na pełne morze; nigdy nie mogła stłumić dobywającego się z głębi duszy okrzyku: „Zabiłam Artura! Artur nie żyje!” Czasem ciężar tej świadomości wydawał jej się wprost nie do zniesienia.

A teraz dałaby pół życia, by ten ciężar odzyskać. Jeżeli go zabiła, to był to ból dawny; zносиła go zbyt długo, by ją mógł złamać teraz. Ale jeżeli popchnęła go nie do wody, lecz —

Usiadła, zasłaniając oczy rękoma. Całe jej życie było zatrute myślą o jego śmierci. Och!... gdybyż nie była sprawczynią czegoś gorszego, niż śmierć —

Rozważnie, bezlitośnie odtwarzała sobie w pamięci krok za krokiem całe piekło jego przeszłego życia. Widziała je i czuła tak wyraźnie, jakby je wraz z nim przeżyła. Ta milcząca Indyjska chata, w której leżał sam, chory i opuszczony; te plantacje cukru, te kopalnie srebra; ten okronpy, wędrowny cyrk.

Wędrowny cyrk! — Nie; na ten obraz przynajmniej musi zamknąć oczy; to ją mogłoby doprowadzić do obłędu!

Usiadła i otworzyła szufladę biurka. Przechowywała tam trochę osobistych pamiątek, na zniszczenie których nie mogła się zdobyć. Z natury nie była sentymentalną, ale zachowanie tych drobnostek było ustępstwem dla słabszej strony jej kobiecego serca. Rzadko też pozwalała sobie na oglądanie ich.

Teraz, wyjmowała je z szufladki jedno po drugim. Pierwszy list Giovanni'ego; i kwiaty, które spoczywały w jego martwej ręce; pukiel włosów dziecka i zwiedły listek z grobu ojca.

Na samem dnie leżała miniatura Artura, robiona, gdy miał dzieśnięć lat; jedyna jego podobizna, jaka pozostała.

Gemma wzięła miniaturę i patrzyła na tę śliczną, dziecięcą główkę, tak długo, aż twarz rzeczywistego Artura stanęła przed nią na nowo. Jak żywo i dokładnie ujrzała ją w każdym szczególe!... Delikatna linia ust, wielkie, poważne oczy, seraficzna czystość ich wyrazu, wszystko to wryło się w jej pamięci na zawsze i występowało teraz tak wyraźnie, jakgdyby to było wczoraj zaledwie.

Zwolna łzy napłynęły jej do oczu i przesłoniły miniaturę.

Och! jak mogła przypuścić coś podobnego! Świętokradztwem było poprostu myśleć o tym jasnym, czystym duchu przykutym do plugawych nędz życia!... O! nie! Nie! Bogowie musieli go kochać i pozwolili mu umrzeć młodo. Lepiej, po tysiąc razy lepiej było dla niego zniknąć z tego świata, niżby miał żyć i być Bakiem — Bakiem z jego nadzwyczajnymi krawatami, jego wątpliwym dowcipem, jego zjadliwością i jego baletnicą! Nie! Nie! To była tylko straszliwa, niedoczesna zmora; a ona napróżno zdręczała się bezsensownymi przypuszczeniami.

— Czy można? — zapytał miękki głos od proga.

Drgnęła tak gwałtownie, że miniatura wypadła jej z ręki, i Bak u tykając przez pokój podniósł ją i podał Gemmie.

— Jakżeś mnie pan przestraszył — rzekła.

— Bardzo m...m...i przykro! Może przeszkadzam?

— Nie. Grzebałam się tylko w dawnych pamiątkach.

Zawahała się chwilę; poczem podała mu miniaturę.

— Co pan myślisz o tej głowie?

Gdy ją wziął i oglądał, wpatrywała się w niego z takim natężeniem, jakgdyby życie jej zawisło od wyrazu jego fizyognomii; ale ta była tylko krytyczną i obojętną.

— Dajesz mi pani trudne zadanie — rzekł po chwili. — Portrecik wyblakł, a twarz dziecka jej zawsze trudną do odczytania. Ale myślę, że dziecko wyrosłoby na nieszczęśliwego człowieka i że najmądrzejszą rzeczą, jaką mogło uczynić, było wcale nie wyrosnąć.

— Dlaczego?

— Spójrz pani na linię dolnej wargi. To jest na...a... tura niesłychanie wrażliwa i uczuciowa; a na świecie nie m...m...ma miejsca dla takich ludzi; światu potrzeba tylko takich, którzy poza swoją robotą są na wszystko obojętni.

— Czy ta miniatura nikogo panu nie przypomina?

Przypatrzył jej się uważnie.

— Ależ tak! To ciekawe, oczywiście; uderzające podobieństwo!

— Do kogo?

— Do k...k...kardynała Mon...n...tan...nelli. Radbym wiedzieć, nawiasem, czy nieskazitelna eminencya posiada jakich synowców! Wolno spytać, kto to taki?

— To portrecik z dziecinnych lat tego przyjaciela, o którym panu mówiłam.

— Któregoś pani zabiła?

Drgnęła mimowoli. Jak on to lekko, jak okrutnie powiedział!

— Tak, którego zabiłam; jeżeli istotnie nie żyje.

— Jeżeli?

Spojrzała mu głęboko w oczy.

— Wątpiłam w to czasem — odrzekła. — Ciała nie znaleziono. Mógł równie dobrze uciec z domu, jak pan, i popłynąć do Południowej Ameryki.

— Miejmy nadzieję, że nie. To byłoby rzeczywiście niedobre wspomnienie dla pani. Co do mnie, bywałem nieraz w srogich opalach i myślę, że niejednego człowieka wyprawilem do Hadesu; ale gdyby sumienie wyrzuciło mi, że posłałem jakąś żywą istotę do Południowej Ameryki, tobym źle sypiał..

— Więc pan sądziś — przerwała, zbliżając się do niego ze złożonymi rękoma. — że jeśliby nie utonął i przecierpiał to, co pan, w życiu, to nie wróciłby nigdy i nigdy nie zapomniał przeszłości? Pamiętaj pan, że i mnie ona trochę kosztowała. Spójrzyj!

Odgarnęła ciężkie fale włosów z czoła i pokazała mu szerokie, białe pasmo w czarnych splotach.

Nastąpiło długie milczenie.

— Myślę — rzekł Bak zwolna, — że umarli powinni umarłymi pozostać. Bywają rzeczy, o których trudno zapomnieć. Co do mnie, gdybym był na miejscu zmarłego przyjaciela pani, tobym nie ożył. Goście z tamtego świata to brzydkie widma.

Gemma włożyła miniaturę do szuflady i zamknęła ją na klucz.

— Surowa to doktryna — rzekła. — A teraz mówny o czem innym.

— Przyszedłem pomówić z panią w pewnej sprawie... prywatnie i przedstawić plan, który mi się roi w głowie.

Przysunęła krzesło do stołu i usiadła.

— Co pani myślisz o projektowanym prawie prasowym? — zaczął, bez śladu zwykłej zająkliwości w głosie.

— Co myślę o niem? Myślę, że zapewne niewiele będzie warte; ale coś jest zawsze lepsze, niż nic.

— Bez wątpienia. Więc zamierzasz pani pracować dla którego z nowych pism, które ci dobrzy ludzie tutaj chcą wydawać?

— Mam ten zamiar. Przy każdym nowem wydawnictwie jest zawsze dużo praktycznej roboty; z drukiem, z rozpowszechnianiem —

— Jak długo będziesz pani marnować w ten sposób swoje umysłowe dary?

— Dlaczego „marnować“?

— Bo to jest marnowanie. Pani to wiesz sama bardzo dobrze, że masz o wiele lepszą głowę, niż większość tych mężczyzn, z którymi pracujesz; a jednak pozwalasz, żeby się tobą wysługiwali. Umysłowo stoisz pani o całe niebo wyżej, niż Grassini i Galli, a jednak ślęczysz

nad korektami ich rękopisów, jak-gdybyś nie miał nic lepszego do ro-boty.

— Przedewszystkiem nie trawie całego mego czasu na robienie ko-rekt; a powtóre zdaje mi się, że pan przeceniasz moje umysłowe zdolno-ści. Nie są one bynajmniej tak świe-tne, za jakie je pan uważasz.

— Nie uważam ich za świe-tne — odpowiedział spokojnie — ale uważam, że są gruntowne i logicz-ne, co wiele więcej znaczy. Na tych przenudnych posiedzeniach Komite-tu pani zawsze umiesz trafić w achillesową piętę każdego rozumo-wania.

— Jesteś pan niesprawiedliwy dla drugich. Martini, naprzykład, ma bardzo logiczny umysł; a nie mo-że być wątpliwości o wysokich zdol-nościach Fabrizi'ego i Legi, Grassini znowu posiada tak wszechstronną znajomość włoskiej ekonomicznej statystyki, jak może nikt w kraju.

— No; to nie znaczy powiedzieć wiele; ale zostawimy ich na boku wraz z ich zdolnościami. To nie zmie-nia faktu, że pani przy swoich umy-słowych darach mogłabyś spełniać ważniejsze zadania i zajmować od-powiedzialniejsze stanowisko, niż do-tychczas.

— Jestem zupełnie zadowolona z mego stanowiska. To, co robię, nie jest może wiele warte; ale wszyscy mogą tylko to robić, do czego są zdadni.

— Signora Bolla; pani i ja za-szliśmy za daleko, by się bawić w komplementy i udawać skromni-siów. Powiedz mi pani, szczerze, czy nie czujesz, że zużywasz swój mózg na pracę, którą osoby mniej od ciebie uposażone mogłyby równie do-brze wykonywać?

— Skoro pan koniecznie nale-gasz, a więc — tak; do pewnego stopnia.

— Więc czemu jej pani nie za-niechasz?

Nie odpowiedziała.

— Czemu jej pani nie zanie-chasz?

— Bo — już tak być musi.

— Dlaczego?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Pan nie powinienesz nalegać na mnie tak natarczywie. To niedel-tatność.

— Być może; ale mimo to pani mi powiesz, dlaczego.

— A więc, skoro tak koniecznie pan żądasz — dlatego, że życie moje porwane jest na strzępy, że jestem zmiażdżona i nie mam energii do żadnej samostnej działalności. Je-stem zdтна jedynie na robocze konia rewolucyi, i to moje zadanie spełniam w każdym razie sumiennie; a trzeba przecieź, żeby je ktoś speł-nił.

— Zapewne; ale nie zawsze jed-na i ta sama osoba.

— To wszystko, do czego je-stem zdolna.

Popatrzył na nią w pół przymi-kniętymi oczyma, w jakiś szczegó-lny, niezbadany sposób. Ona po chwili podniosła głowę.

— Wracamy znów na dawne to-ry, a mielibyśmy mówić o interesach. Upewniam pana, że na nic się nie zda mówić mi, że mogłam tam tego i owego dokonać. Wszystko to jest poza mną. Ale może będę mogła do-pomódz panu w obmyśleniu pańskiego planu. Jakież on jest?

— Zaczynasz pani od zapewnia-nia mnie, że się na nic nie zda pro-pionować ci cośkolwiek, a potem py-tasz, co ci chcę zaproponować. Mój plan wymaga czynnej pomocy.

— Niech go usłyszę, a potem bę-dziemy radzili.

— Przedewszystkiem, czy pani słyszała o przygotowaniach do ru-chawki w Wenecyi?

— Toż się o tem ciągle słyszy zarówno, jak o spiskach Sanfedystów, do tego stopnia, że przestałam wie-rzyć w jedno i w drugie.

— Ja również; ale mówię o rze-telnie poważnych przygotowaniach do powstania całej prowincyi prze-ciwko austryakom. Wielu z mło-dzieży w państwie papieskiem za-mierza przekraść się tam i przyłą-czyć do powstańców na ochotnika. A moi przyjaciele z Romanii dono-szą mi; —

— Powiedz mi pan — przerwa-ła Gemma — czy jesteś zupełnie pe-wny, że tym przyjaciółom dowierzać można?

— Zupełnie. Znam ich osobiście i pracowałem z nimi.

— To znaczy, że są członkami związku, do którego pan należysz. Wybacz mi pan mój sceptycyzm, ale zawsze odnoszę się z powątpiewa-niem co do dokładności informacji, pochodzących od tajnych związków. Zdaje mi się, że zwyczaj —

— Kto pani powiedział, że nale-żę do jakiegoś związku? — przerwał ostro.

— Nikt; odgadłam sama.

— A!

Przechylił się w tył na krześle i popatrzył na nią ze ściągniętymi brwiami.

— Czy zawsze odgadujesz tak pani osobiste sprawy ludzkie? — za-pytał po chwili.

— Bardzo często. Jestem z na-tury spostrzegawczą i mam zwyczaj zestawiania ze sobą faktów. Mówię to panu, żebyś był ostrożnym, gdy nie będziesz chciał, żebym o czemś wiedziała.

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyś pani wiedziała o wszystkim, byle to dalej nie poszło. Sądzę też, że i w tym wypadku —

Podniosła głowę ruchem nawpół obrażonego zdumienia.

— Pytanie całkowicie zbytecz-ne — rzekła.

— Och; wiem, że nie powiedzia-łabyś pani nikomu z obcych; ale my-

ślałem, że może członkom swego stronnictwa — —

— Moje stronnictwo ma prawo znać fakty a nie moje osobiste przy-puszczenia i domysły. Samo się przez się rozumie, że z nikim o tem nie mó-wiłam.

— Dziękuję pani. Czy może od-gadłaś pani także, do jakiego związ-ku należę?

— Spodziewam się — daruj mi pan moją szczerość, ale sam potu-szyłeś ten przedmiot — spodziewam się, że nie do „Sztyletników“.

— Czemu się pani tego spodzie-wasz?

— Bo jesteś pan stworzony do lepszych rzeczy.

— Wszyscy jesteśmy stworzeni do lepszych rzeczy, niż te, które czynimy. To jest pani własna odpo-wieź. W każdym bądź razie nie należę do „Sztyletników“, lecz do „Czerwonych Pasów“. Ci się biorą poważniej do roboty.

— Masz pan na myśli sztylet-owanie?

— I to między innemi. Sztylet-ty są bardzo pożyteczne na swój sposób, ale tylko wtedy, gdy je po-piera dobrze zorganizowana propa-ganda. I oto, czego nie lubia w tam-tym związku. Im się zdaje, że szty-let może rozwiązać wszystkie tru-dności na świecie, a to jest błąd. Roz-wiązuje on wiele, ale nie wszystkie.

— Czy pan szczerze wierzysz, że rozwiązuje jakkolwiek?

Popatrzył na nią ze zdziwie-niem.

— Oczywiście — ciągnęła da-lej — że usuwa on narazie praktycz-ną trudność, jaką sprawia obecność sprytnego szpiega lub nienawistne-go urzędnika; ale pytanie, czy na miejsce usuniętej nie wytwarza jesz-cze gorszych. Każdy mord rozdraź-nia jeszcze bardziej policyę, czyni ją szkodliwszą i przyzwyczają lud do gwałtu i okrucieństwa.

— A, co będzie, jak się pani zdaje, gdy wybuchnie rewolucya? Czy sądzisz pani, że lud nie przy-zwyczaj się wtedy do gwałtu? Woj-na jest wojną.

— Tak; ale otwarta rewolucya, to zupełnie co innego. To ważny moment w życiu ludzi i cena, którą okupywać musimy każdy postę-p. Niewątpliwie, dział się będą straszne rzeczy, jak w każdej rewolucyi. Ale to będą fakty odosobnione, wyjątko-we cechy wyjątkowych czasów. A największą okropnością sztyletowa-nia jest, że to wchodzi w zwyczaj. Ludzie oswoją się z tem, jak z rze-czą powszednią, i ztracają poczucie poszanowania życia bliźnich. Krótko przebywałam w Romanii, ale wynio-słam stamtąd wrażenie, że gwałt stał się dla tamtejszych ludzi nawyknie-niem.

— W każdym razie lepsze to, niż nawyknięcie do posłuszeństwa i uległości.

— Nie sądzę. Wszelkie nawyknienia są złe i niewolnicze; a to jest w dodatku krwiożercze. Oczywiście, jeżeli robota rewolucyjna zasada się dla pana na wydzieraniu rządowi pewnych, określonych ustępstw, to tajne związki i sztylet muszą się panu wydawać najlepszą bronią, bo wszystkie rządy niczego się bardziej nie boją. Ale jeżeli byś pan sądził, tak jak ja sądzę, że wywieranie nacisku na rząd nie jest celem a tylko środkiem do osiągnięcia celu, i że istotną potrzebą jest zreformowanie stosunków pomiędzy ludźmi, wówczas wzięłbyś się pan inaczej do dzieła. Oswajając ciemny tłum z widokiem krwi, to nie jest droga do podniesienia wartości, jaką on przykłada do ludzkiego życia.

— A wartość, jaką ten tłum przykłada do religii?

— Nie rozumiem.

Uśmiechnął się.

— Myślę, iż różnimy się w zapatrywaniach na źródło zła. Dla pani leży ono w niedocenianiu wartości ludzkiego życia.

— Raczej w nietykalności ludzkiego życia.

Zadrzała i odwróciła się.

— Rozczarowałaś się pani co do mnie? — spytał, patrząc na nią z uśmiechem.

— Nie; nie to. Ale... lękam się pana po troszę.

Po chwili zwróciła się ku niemu i rzekła zwykłym głosem:

— Dajmy temu pokój. Nie przekonamy się wzajemnie. Nasze zapatrywania zbyt są odmiennie. Co do mnie, wierzę jedynie w propagandę, propagandę i raz jeszcze w propagandę; a gdy ją można rozwinąć w jawne powstanie.

— Więc wróćmy do mego planu; gdyż ma on potrosze związek z propagandą, a bardziej jeszcze z powstaniem.

— Tak?

— Jak już pan; mówiłem, wielu ochotników romańskich wybiera się połączyć z weneccyanami. Nie wiemy jeszcze, jak prędko powstanie wybuchnie. Może dopiero jesienią lub zimą, ale ochotnicy w Apenninach muszą być uzbrojeni i gotowi tak, aby na każde wezwanie wyruszyć mogli. Ja podjąłem się przemycania dla nich palnej broni i amunicji na terytorya papieskie.

— Chwileczkę. Jakim sposobem działasz pan w porozumieniu z tą partią? Nowy papież proteguje rewolucjonistów w Lombardii i w Wenecyi. Działają oni na rzecz wolnościowych reform ręką w rękę z postępowymi ideami Kościoła. Jakżeż taką nieprzejeźdną antyklerykał, jak pan, może się z nimi solidaryzować? Wzruszył ramionami.

Dalszy ciąg nastąpi.



Życie ekonomiczne Królestwa Polskiego.

„Rosyjskie taryfy celne i kolejowe i ich wpływ na życie ekonomiczne Królestwa Polskiego” rozpatruje p. Marcelli Lewy w swojej bardzo ciekawej pracy. Wskazuje ona na niezwykle warunki, w jakich zmuszony był żyć i trwać nasz przemysł. Bezpośrednią przyczyną i pobudką pracy p. M. Lewego była znana zładna teoria „rynków wschodnich”. Stworzona przez znaną działaczkę socjal-demokratyczną, Różę Luksenburg, stała się teorią ta aksjomatem praktycznym naszego przemysłu, na eksport fabrykującego i dostosowującego strukturę naszej gospodarki narodowej do tych zewnętrznych wymogów. „Świat” na początku wojny w sprawie tej ogłosił interesującą ankietę ze znanymi działaczami przemysłowymi. Orzekli oni wtedy bez wyjątku, że przemysł nasz i bez rynków wschodnich będzie się rozwijał. Zginął tylko sztucznie hodowane gałęzie przemysłu. Powstanie natomiast przemysł ściśle dostosowany do naszych potrzeb.

Książka p. Lewego zwalcza cyframi i faktami rynki wschodnie. Pokazuje pozorność i sztuczność dobrych interesów, które zrobili pewni przedsiębiorcy, ale nie naród, nie gospodarka narodowa, jako całość. Praca p. Lewego powinna w sferach szerokich obudzić duże zainteresowanie.

Sztuka głośniego czytania.

Znany artysta dramatyczny, p. Józef Mikulski, wydał wykład popularny „Sztuki głośniego czytania, wymowy i deklamacji” dla użytku szkół początkowych. Jest to praca ze wszech miar godna rozważ. We wstępie mówi autor: „Dobry czytelnik lub opowiadacz wszędzie i zawsze znajdzie chętnych słuchaczy i może pobudzić nawet najobojętniejszych do zajęcia się pięknościami, zawartymi w dziełach naszych prozaików i poetów. Te pobudki zrodziły myśl napisania popularnego podręcznika w nadziei, że znajdzie się on w rękę każdego księdza, nauczyciela, rolnika, rzemieślnika, robotnika, którzy, nauczysz się dobrego wygłaszania utworów lub treściwego opowiadania dzieł pożytecznych, historycznych, gospodarczych lub zawodowych, przyczyniliby się do wzbogacenia dobra powszechnego”. A więc i dla użytku najszerszych kół społecznych podręcznik p. Mikulskiego jest przeznaczony. Książeczka ta jest bardzo pożyteczna i wypełnia lukę w naszej literaturze pedagogicznej w tym kierunku.

Przed Zmartwychwstaniem.

Autor, podpisany pseudonimem „Fiat”, wydał zbiorek wierszy o nastroju religijnym p. t. „Przed Zmartwychwstaniem”. Poemaciki te mają wartość czysto osobistą, jako dokumenty pięknej psychiki, żyjącej na tlech wzruszeń uczuciowo-rozmodlonych. Dla ludzi pokrewnych uczuciowością, możliwe, że wiersz p. Fiat może posłużyć za kanwę marzeń.

Ku czci bohatera narodowego, pułkownika Jana Kilińskiego, wydano książeczkę p. t. „Krwawe dni kwietniowe w Warszawie dn. 17 kwietnia 1794 r.”. Wypis z pamiętnika J. Wybickiego, jak to „o godzinie 4-ej zrana powstała w Warszawie insurekcya”. „Nie miała ona charakteru niesporów Sycylijskich, ani rzęzi św. Bartłomieja, gdzie uknuta napaść śpiącym i bezbronnym odbierała życie”. Opis wypadków wyjęty z „Gazety Wolnej Warszawskiej” z r. 1794. Dowiadujemy się, że „naszych i 300 nie zginęło”. „Co za cudowna Niebiosa opatrność, że nam tyle dodała i męstwa i jedności, żeśmy tak wielkie korzyści, a największą ową odzyskaną wolność, z tak małą stratą, za przykładem wielkich naszych idąc przodków, nieodrodni ich synowie potężnym waleczności polskiej ramieniem znowu sobie przywrócili”.

Trzeci Maj.

Dobłą i pożyteczną antologię wyjątków, godnych poznania a dotyczących 3 maja, zebrał i ułożył młody i utalentowany historyk, p. Henryk Mościcki. W zbioru tym zamieszczono: J. I. Kraszewskiego Odwołanie ustawy 3 maja 1791 roku, J. D. Ochockiego i Makulskiego Wspomnienia, L. Węgnera Współczesne opinie cudzoziemców o Konstytucji 3-go maja, Wł. Smoleńskiego „Pierwsza rocznica Konstytucji 3 maja”, oraz M. Starzeńskiego „Nawałnice”. Poza tem dodano „Katechizm narodowy” z r. 1791. Dla czytelnika przeciętnego książeczka ta jest bardzo cennym nabytkiem. Bez trudu i zachodu może poznać najwymowniejsze wyjątki o Konstytucji majowej.

Lawina.

Bajki, żywiły i tajnie serca zawiera tomik płynnej prozy p. Stelli Olgierd, który wydano pod ogólnym tytułem „Lawina”. Wiele nonszalancy i zbytniej przejrzystości wyciera z udekorowanych „poziomkami” zdań i obrazów. Czy mają one tylko na względzie sztukę słowa? Może. Tomik ten został ozdobiony ładną fotografią autorki. Zapewne w buduarach „Lawina” cieszyć się będzie poczytnością.

Noce Romantyczne.

Stanisław Widacki, młody poeta, odważył się w czasy wojenne wydać poemat miłosny p. t. „Noce Romantyczne”. Odwaga stoi jednak na wysokości literackiej wartości poematu. Wiersz płynie gładko a nawet miejscami kunsztownie. Czyta się przyjemnie i zajmuje przez miłe refleksje autora. Zapewne przyszłość da nam niejedną noc poematu p. Stanisława Widackiego. W „Nocach Romantycznych” bezwzględnie należy podnieść narracyjny talent autora. Nie dziwnego więc, że Józef Jankowski obdarzył „Noce Romantyczne” ładnym wstępem, w którym zwraca się do poety:

*„Na ten gościnnie Idealu
Wstąpiwszy, masz już iść —
A net przydrożny bez podziału,
Jak zwiędły rzucać liść”.*

Miłośnicy wiananego słowa powinni poznać „Noce Romantyczne” Stanisława Widackiego.